



Jaskinie Góry Koronnej.

Góra koronna wznosi się na lewym brzegu rzeki Prądnika, w odległości około 1 kilometra od Góry zamkowej Ojcowa, naprzeciwko Góry Chełmówki, położonej na

prawym brzegu (zob. kartę topograficzną na str. 372).

Granice Góry koronnej stanowią: od północy mały Wąwóz koronny albo Wrześnik i drożyna leśna, wznosząca się pochyło od rzeki pomiędzy górą pomienioną a Panieńskimi skałami (które piętrzą się stromo poniżej ujścia Saspówki do Prądnika); od zachodu dolina rzeki Prądnika dość wązka w tym miejscu; od południa pochyłość lesista, rozciągająca się ku górze Okopy; od wschodu wreszcie płasko-wzgórze faliste pól ornych, rozciągających się ku wsi Smardzewicom ¹⁾.

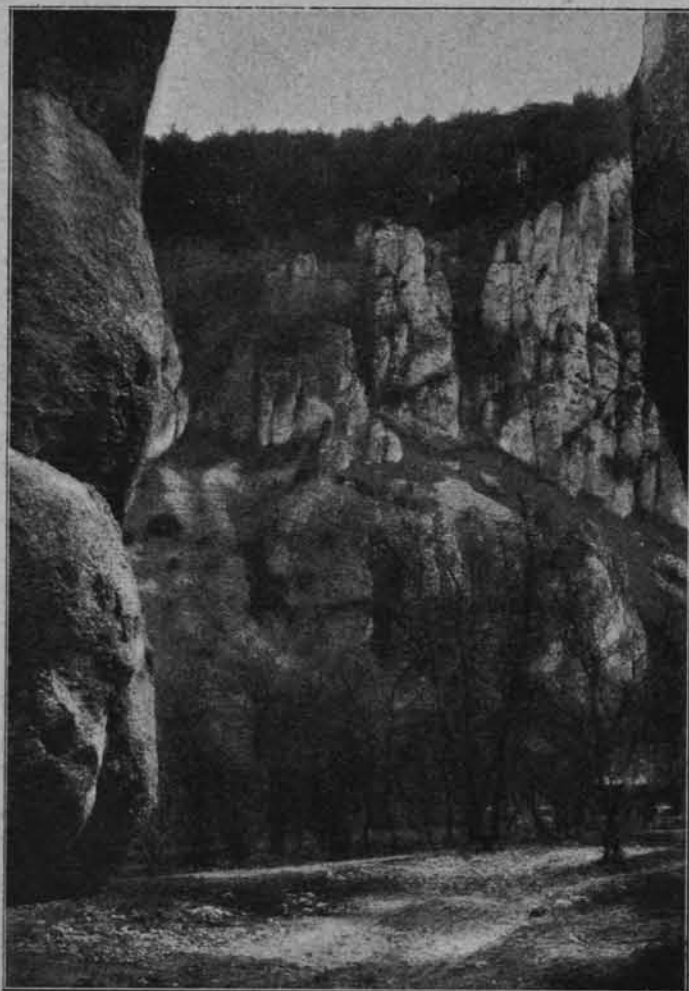
Góra koronna ma dwa wierzchołki pagórkowate dość płaskie. Większy i wyższy od strony południowej, niższy od strony północnej. Pokryta jest prawie cała wspaniałym lasem iglastym. Wysokość Góry koronnej jest niewiele mniejsza od najwyższej sąsiedniej góry Chełmówki, mierzącej 472 metry nad poz. morza.

Zbocza Góry koronnej, od wschodu dość płaskie, przechodzą nieznacznie w fa-



GÓRA KORONNA ZE ŚCIEŻKĄ, WIODĄCĄ DO WIELKIEJ JASKINI I CIEMNEJ.

¹⁾ Do rozpatrzenia położenia topograficznego Góry koronnej i jej jaskiń służyć może „Mapa okolic Ojcowa” wydana (podług mapy sztabu austriackiego) przez zakład fotograficzny B. Wolniewicza w Ojcowie.



WIDOK ZBOCZA ZACHODNIEGO GÓRY KORONNEJ
Z POZA KRAKOWSKIEJ BRAMY.

liste pola wsi Smardzewice. Od północy, czyli od strony Wąwozu koronnego, zwanego też Wrześnikiem, zbocza zrazu lekko pochyłe, stopniowo mają spadek coraz większy, aż wreszcie w pobliżu głównej doliny Prądnika z pod grubych podkładów gliny wyłaniają się odsłonięcia skał wapienia białego jurajskiego, wznoszące się coraz stromiej. Od zachodu czyli od strony rzeki, obnażenia tychże skał stanowią ściany olbrzymie prawie pionowo ścięte, to gładkie to znów poszarpane rozpadlinami i szczelinami różnej wielkości. Od południa wreszcie ściany skalne, malejąc stopniowo, kryją się znów pod pokłady gliny żółtej i lessu, stanowiących masę główną wierzchnich pokładów całej okolicy.

Przy wejściu do Wąwozu koronnego, o kilkadziesiąt kroków od rzeki Prądnika, wznosi się piękna skała w postaci obeliska zwana Igłą, wysoka kilkanaście metrów. Nieco

powyżej piętrzy się wyniosła ściana pionowa skał ponad gruntem i zabudowaniami kowala Ferdka i Cieślaków, włościan miejscowych. W owej ścianie skalnej widać dwie rozpadliny szerokie, zwrócone ku zachodowi, stanowiące dwie Bramy: szeroką i wąską.

Brama szeroka prowadzi na polankę spadziłą, zarosłą bujną trawą, mchami, zielskiem i krzewami, zwaną Ogrojcem większym. Wokoło otaczają go strome ściany skał wapienia; naprawo od bramy znajduje się w nich nieznaczne małe Schronisko podskalne.

Brama wąska prowadzi podobnie na drugą polankę, zwaną Ogrojcem mniejszym, zaciszną i słoneczną. W skałach otaczających go owalnie, naprawo od bramy znajduje się niewielkie Schronisko niskie, u szczytu polanki drugie Schronisko górne albo wysokie, oba rozmiarów niedużych.

Poniżej Bramy wąskiej Ogrojca mniejszego, nieco naprawo, napotykamy Schronisko dolne zachodnie, utworzone przez wielki odłam skały, obsunięty i wsparty pochylą o główną ścianę skalną.

Naprzeciw schroniska pomienionego piętrzy się wspaniała skała, w postaci wieży, zwana Igłą wielką, wysoka kilkadziesiąt metrów.

U stóp tej skały zaczyna się ścieżka leśna, prowadząca z doliny Prądnika wężykowato pod górę do głównej Jaskini Ojcowskiej ciemnej, położonej wysoko w bliskości wierzchołka większego Góry koronnej. Powszechnie znana i najczęściej zwiedzana przez turystów, rozległa ta jaskinia ma naprawo od wejścia głównego korytarz z otworem małym i niewidocznym, przez który przepełznąć można pod bardzo niskim sklepieniem do wyjścia drugiego, dość szerokiego i wyniosłego, jakie prowadzi do małego ogrojczyka, otoczonego wokoło ścianami skał pionowymi.

Wprost, naprzeciwko wyjścia z owego korytarza Jaskini ciemnej, widać szeroką bra-



mę łukowatą, wiodącą do pięknego tunelu podskalnego zwanego Oborzysko wielkie (długiego metrów 18, szerokiego 8, wysokiego 4 m.).

Tunel ów ciągnie się nawylot pod skałą Rękawicą albo Pięcio-palcówką, widoczną i pokazywaną zwykle turystom z doliny od rzeki Prądnika. Obok skały pomienionej, z małego ogrojczyka wązka rozpadlina skalna czyli żłób pozwala zejść nadół, na tak zwane podgórze.

Tu w pobliżu za skalnym załosem znajdujemy jaskinię niewielką zwaną Oborzysko małe, z wejściem dość wysokim, szerokim 2 metry. Jaskinia ta długa około 7 metrów, wysoka przeszło 5 metrów ma na końcu rodzaj okna małego czyli komina, wychodzącego nieco w bok naprawo.

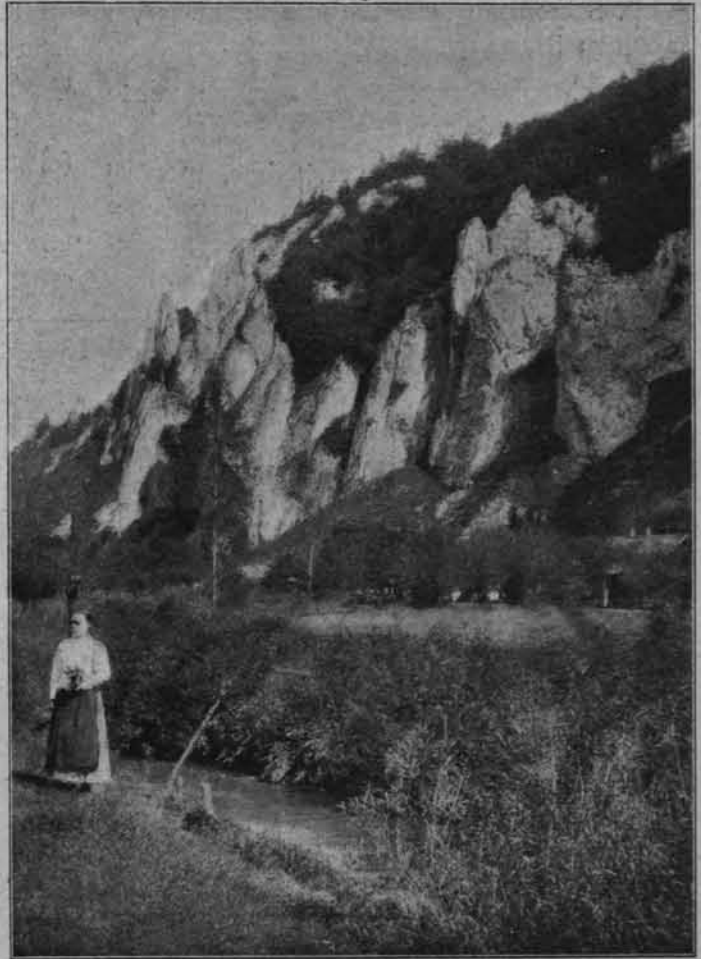
Zeszedłszy stąd na sam dół do stóp góry po bardzo pochyłej spadzistości, znajdujemy się pod olbrzymią ścianą wapienną pionowo ściętą, zwaną Opalną skałą, z powodu okopcenia sadzą z ognia pastuszych. Mała wązka łączka, rozciągająca się u stóp skał, prowadzi do lewego brzegu Prądnika. Po drugiej stronie rzeki widać wspaniałe skały tak zwanej Krakowskiej bramy, powszechnie znanej turystom tamtejszym.

Posuwając się dalej łączką u stóp Góry koronnej, dochodzimy do największego spiętrzenia jej ścian skalnych.

O kilkanaście metrów od podnóża skały Rękawicy, ukryte wśród krzewów dość wysoko, znajduje się wejście Jaskini za leszczyną zwanej (obfitującej w zabytki przedhistoryczne, jeszcze nie badanej).

Kilkadziesiąt kroków dalej nad domkiem ogrodnika, w skale stromej widać dwie czarne szczeliny: to dwa otwory Jaskiń nad Paździórkówką, tak zwanych od nazwiska dawnych właścicieli gruntu, rozciągającego się u stóp Góry koronnej w tym miejscu, gdzie obecnie sad i ogród dworski.

Nieco dalej piętrzy się wyniosła skała



GÓRA KORONNA OD STRONY POLUDNIOWEJ.

w postaci baszty, a w niej wysoko u szczytu widać wielki czarny otwór Kawczej dziury, zamieszkaney przez całe stada kawek. U stóp teje skały jest mała jama, mogąca pomieścić człowieka, to Schronisko dolne południowe. Posuwając się nieco wyżej po ziemskiej pochyłości góry, u stóp teje południowej ściany skał napotykamy jeszcze jedno Schronisko górne, w niewielkiem zagłębieniu skalnem dobrze usłonecznionem.

Dalej coraz wyżej obnażenia skalne maleją i kryją się pod pokładami gliny, zarosłymi lasem iglastym.

Z rozpatrzenia i opisu powyższego widzimy, że Góra koronna obejmuje w sobie liczne większe i mniejsze jaskinie, oraz jamy i schroniska podskalne, a mianowicie.

1. Schronisko małe w ogroju większym za pierwszą Bramą szeroką przy Wąwozie koronnym.

Lawiny w Tatrach.

2)

II.

Lawiny są to wielkie masy śniegu, spadające w górach po stromych pochyłościach z grzbietów i stoków na dna dolin, gdzie z czasem topnieją, pozostawiając po sobie charakterystyczne ślady. Do tworzenia lawin zatem konieczne są większe masy śniegu z jednej i znaczniejsze spadki powierzchni ziemi z drugiej strony. W naszej strefie i jeden i drugi warunek najlepiej bywa zniszczony w górach wysokich: w nizinnych okolicach jest względnie mało śniegu a nachylenia powierzchni ziemi są słabe. W okolicach podbiegunowych mimo znacznej miąższości pokrywy śnieżnej często niema lawin, tam gdzie brak znaczniejszej pochyłości; w krajach południowych, nawet w wysokich, stromych górach, częstokroć zjawisko lawinowe jest nieznanne z powodu braku większych mas śniegu. W Tatrach warunki potrzebne do rozwoju lawin są jak najkorzystniejsze: śnieg pada tu od października aż do maja (podczas mojego cztero-dniowego pobytu w kwietniu w Tatrach śnieg padał bezustannie dniem i nocą), a ilość opadów jest wogóle w górach o wiele znaczniejsza niż na niżu. Nie mamy dotychczas w Tatrach stacyi meteorologicznej, która by nam podała ilość spadających rocznie opadów w samych górach, ale już w miarę, jak się zbliżamy ku Tatrom, ilość opadów rocznych znacznie wzrasta. Wedle zestawienia p. Leopolda Świerza¹⁾ opady na Podhalu wynoszą:

	wysokość nad p. m.	oddalenie od stóp Tatr	czas obserwacyi	wysokość rocznych opadów
w Nowym Targu	593 m.	22 5 km.	1876—1907	795·3 mm.
„ Czarn. Dunajcu	675 „	18 0 „	1876—1906	812·7 „
„ Poroninie	743 „	6·5 „	1867—1893	918·0 „
„ Zakopanem	900 „	1·5 „	1893—1907	1187·6 „
„ Brzanówce	915 „	—	1892—1907	1248·0 „

Sądzymy, że nie mylimy się, przyjmując dla grzbietowych przestrzeni Tatr przynajmniej 2000 mm. rocznych opadów; z tej sumy pada prawdopodobnie około 800 mm. wody w formie śniegu; aby otrzymać 800 mm. wody, musiało spaść nie mniej niż 8 metrów śniegu, według wzoru H a n n a²⁾, iż gęstość przeciętna śniegu wynosi 0.1 (to

znaczy 10 mm. śniegu równa się przeciętnie 1 mm. wody). Prawda, że tak grubą warstwę śniegu rzadko spotykamy, bo część śniegu topnieje także podczas zimy, spływa w zimie potokami tatrzańskimi częstokroć niezamarzającymi, inna część wyparowuje, ostatecznie część śniegu zwiewa wiatr w zagłębienia powierzchni, gdzie spotykamy się czasami z ogromną miąższością śniegu. W kwietniu tego roku na gościńcu od Morskiego Oka do Wodogrzmotów grubość śniegu wynosiła 10 — 20 m. A podczas gdy na Czarnym stawie nad Morskim Okiem grubość śniegu wynosiła tylko 70 cm., to przy brzegach wynosiła, jak się przekonaliśmy, do 5 m.

A stromych stoków chyba nie brak w Tatrach. Charakterystycznymi właśnie dla krajobrazu tatrzańskiego są ściany skalne i progi. Nie tyle stoi to w bezpośrednim związku z bezwzględną wysokością Tatr, ile z faktem, że te góry były w odległych czasach epoki czwartorzędowej zlodowacone. Lodowce mają tę właściwość, że przy zsuwaniu się w dolinach podcinają oba stoki boczne doliny, tak iż po ustąpieniu lodowców graniczy tu stroma ściana bezpośrednio z szerokim płaskim dnem doliny. Z drugiej strony wytwarzają one w podłużnym profilu dolinym strome progi, które oddzielają pojedyncze miednice jeziorne lub też tarasy dolinne. O tem, że wytworzenie tych stromych stoków stoi jedynie w związku z dawnym zlodowaczeniem gór, przekonać się możemy, gdy porównamy grzbiety strome skalne tatrzańskie o wysokości 2000 i 2200 m. z południową stroną grzbietów innych gór karpaccich o tej samej wysokości (południowa strona Niższych Tatr lub Alp Rodniańskich, Czarnohory i t. d.), gdzie było tylko słabe zlodowaczenie lub gdzie ono wcale miejsca nie miało, wskutek czego formy tych grzbietów są łagodne i miękkie.

Jeszcze z innych powodów Tatry przedstawiają nader korzystne warunki dla rozwoju lawin: trzon główny Tatr jest zbudowany przeważnie z granitów, ze skały krystalicznej nieuwarstwowanej. Skały nieuwarstwowane, pozbawione zwykle płaszczyn stromo nachylonych, nie są wogóle dobrym terenem dla rozwoju lawin, ale granit tatrzański jest bardzo silnie popękany i połamany; wzdłuż pęknięć i uskoków, nie brak stromych i gładkich płaszczyn, po których lawiny zsuwać się mogą. A powtórę granit jest skałą nieprzepuszczalną: wilgoć, która częstokroć powstaje pod pokrywą śniegu przez skroplenie spodniej jego warstwy

¹⁾ Ob. Pam. Tow. Tatr. 1908, ²⁹, ¹¹¹/₁₁₅.

²⁾ H a n n: Lehrbuch der Meteorologie, 1901. 305.



pod wpływem ciężaru całego płaszcza śnieżnego, nie może wniknąć w głąb skały i rozluźnia związek między płaszczem śnieżnym a podłożem, zmniejsza tarcie o dno usuwającej się lawiny i lawiny schodzą jakby „po maśle“.

Lawiny tatrzańskie należą, jak widzieliśmy; do dwóch typów, zależnie od tego, czy spadający śnieg posuwa się w dół jako lawina pylna czy jako lawina zbita. Ale od czego zależy jeden lub drugi rodzaj zjawiska? Przedewszystkiem od jakości śniegu. Suchy śnieg ziarnisty usuwa się bardzo łatwo i często, nie zbija się w gęste bloki, ale zsypuje się raczej jak piasek. Takie lawiny odrywają się zwykle już podczas śnieżycy, szczególnie, jeżeli wieje wiatr: nie przybierają one wówczas wielkich rozmiarów. Tylko, gdy panuje zupełna cisza w powietrzu, śnieg zbiera się na pochyłych stokach w znacznej miąższości i zlatuje przy pierwszym wstrząśnieniu powietrza jako większa lawina pylna. Wstrząśnienie to spowodować może lekki wietrzyk, nawet prosty strzał lub krzyk. Podczas śnieżyc i mrozów schodzą te lawiny peryodycznie. Wielkiej szkody nie zrzadzają: masa śniegu ziarnistego rozlatuje się jak chmura, jest za mało gęsta, zanadto rozdrobniona, by mogła masą swą wywołać zniszczenie. Natomiast spadając bardzo szybko, zgęszczają one przed sobą powietrze częstokroć tak znacznie, że przed nimi pędzi burza, do orkanu podobna, która jest w stanie porwać domy, wykorzeniec drzewa i t. d. Lawiny pyłne (avalanches de poussière) nazywają włosi lawinami zimnemi (avalanche froide), ponieważ już schodzą i przeważnie schodzą przy niskich ciepłotach. Takie lawiny schodziły w otoczeniu Morskiego Oka już w lutym, a w kwietniu schodziły one przeważnie z wyższych pasm grzbietowych (2100—2400 m.), gdzie jest chłodniej, podczas, gdy lawiny zbite tworzyły się w kwietniu tylko w niższych pasmach (1600—1900 m.), gdzie ciepłota powietrza już się trochę podniosła. Tylko odmianą lawiny pyłnej jest forma lawiny, którą możemy nazwać „wierzchnią“. Gdy powierzchnia pierwszego śniegu gładko zamarza (po fazie nieco cieplejszej pogody), a na nią spada ponownie śnieg, to śnieg ten drugi po gładkiem podłożu bardzo szybko i łatwo się zsuwa.

Lawiny zbite tworzą się, jak już powyżej zaznaczyłem, tam, gdzie ciepłoty powietrza są wyższe i gdzie z tego powodu śnieg jest wilgotny i zlepia się: włosi nazywają te lawiny ciepłemi (avalanche calde). Ciężki wilgotny śnieg, który

w małych masach z miejsca się nie rusza, a dopiero w większych masach zsuwa się po pochyłościach, trzyma się zawsze powierzchni ziemi; dlatego ją nazywają lawiną denną (avalanche de fond, Grundlawine). Śnieg zbija się coraz bardziej w kłęby i bloki i trze o dno; już z tego powodu chyżość lawiny jest względnie mała. W tym wypadku nie ciśnienie powietrza zrzadza szkody, ale ciężka masa śniegu, która po drodze wszystko ze sobą porywa. Ale szkody te są ograniczone właśnie do tego wązkiego względnie pasma, które zajmuje język lawinowy. Tak np. wielka lawina na początku opisana, względnie jej prawe ramię przeszło 3 kwietnia w oddaleniu 2—5 m. obok koszar posterunku żandarmeryi, drewnianego małego budynku, nietknąwszy go: budynek wcale nie został uszkodzony. Jak już raz zaznaczyłem, dla przebiegu lawin zbitych konfiguracja terenu jest nader ważna, ponieważ rowy potoków zawsze im drogę wytykają, a lejki dolinne służą jako zbiorniki. Dlatego drogi lawin zbitych są zwykle niezmiennie. Po tych drogach zsuwają się lawiny z chwilą, gdy się zbliża czas cieplejszy, gdy śnieg wilgotnieje, a woda pod śniegiem zmniejsza tarcie jego o podłoże. Lawiny zbite zdarzają się wogóle tylko na wiosnę, ich peryodyczność jest ściśle ograniczoną: ponieważ wiosna, t. zn. topnienie śniegów spóźnia się w górach wraz z wzniesieniem, więc zjawisko lawin zbitych przenosi się wraz z topnieniem śniegów z dołu do góry.

Bardzo ważną okolicznością szczególnie dla lawin zbitych, jest szata roślinna w okolicy zbiorników śnieżnych. Na nagiej skale śniegi utrzymać się długo nie mogą. Ale też po trawnikach, więc po halach tatrzańskich, śnieg wilgotny łatwo się zsuwa, szczególnie jeżeli trawy są wysokie, t. zn. niekoszone; krótka, twarda trawa już trochę wstrzymuje śniegi, lepiej czynią to drobne krzaki, jak np. krzaki borówek, róż alpejskich i t. d., jeszcze lepiej kosodrzewina, a najlepiej wysokopienny las. To ochronne znaczenie lasów poznano w alpejskich górotworach oddawna i już w średnich wiekach w licznych rozporządzeniach zabraniano karczowania takich lasów, chroniących przed lawinami. Ale ponieważ lawiny, jako zjawisko klimatyczne i orograficzne, zależą od wielkich mas śniegów i od znacznych spadków stoków, co w górach zwykle ziszcza się dopiero powyżej granicy lasów, praktyczne przeto znaczenie lasów ochronnych znacznie się zmniejsza.

(d. n.)

Dr. Ludomir Sawicki.



Żmudź i Żmudzini.

3)

Są one rozrzucone w wielkiej ilości po całej Żmudzi, a nawet, poza krainą ściśle żmudzką, na zachód aż do dolnej Wisły, granicy sadyb dawnych Prusów, pogan, blizkich krewnych Żmudzinów, na wschód zaś aż do dolnej Dźwiny. Biskup Wołoncewski przypuszcza w swej „Historii Biskupstwa żmudzkiego,“ że były to starożytne świątynie, p. Krzywicki zaś, który od lat kilkunastu bada żmudzkie sypanki „pilkalniai,“ w studium „Żmudź starożytna“ przychyła się raczej ku temu, że były to przeważnie starożytne warownie żmudzkie. Zdaleka „pilkalniai“ mają wyraźny kształt siodła.

Bardzo kształtna taka sypana góra znajduje się pod Bubiami w powiecie szawelskim; znacznie większych rozmiarów „pile“ pod Popielanami (powiat szawelski) zamieniono na cmentarz grzebalny. O jedenaście wiorst od Szawel sypana góra nazywa się u ludu „Szwentkalinis“ — górą Świętą, lub też „Jurgaicziupilis,“ t. j. sypanką wsi Jurgajcze (Jurgis po żmudzku znaczy Jerzy). Na tej sypance była niegdyś krynica i jej obecność nadała sypance piętno świętości. Odwiedzają tę sypankę dotąd chorzy Żmudzini i stawiają jako wota krzyże. P. Krzywicki w r. 1902-im naliczył ich na owej świętej górze 155, jest to więc kompletny las krzyżów. Ilość ich wciąż jeszcze się powiększa.

Pod Chwejdunami, w powiecie rosińskim, we wsi Podewajcze, t. z. „Pod bożkami“ znajdujemy także b. kształtną sypaną górę — pile. O tej sypance, o typie wyraźnego wklęsłego siodła, dotąd krąży wśród miejscowego ludu żmudzkiego wierszyk, który, zdawałoby się, powinien świadczyć, że jednak sypane góry „pilkalniai“ musiały być kiedyś właśnie miejscem składania ofiar przez okoliczną ludność żmudzką.

*„Ant kalnelio, prie upelio,
Dieną nakti ugnele smelk, smelk, smelk!
Ten Żwaginis su Ruginiu
Oželi d'iewui ant garbes smaug, smaug, smaug!
Tu, oželi-žilbarzdeli, auk, auk, auk!
Diewuks musu tawės lauk, lauk, lauk!...“*

„Na górze przy strumieniu, dniem i nocą ogień się pali, pali, pali!“

„Tam Żwaginis z Ruginem (bożkowie) koźła na chwałę bogu dławią, dławią, dławią! Ty koźle-siwobrody, rośnij, rośnij, rośnij—bóg na ciebie czeka, czeka, czeka!...“

Cechą szczególnie znamionną Żmudzinów jest wielkie przywiązanie do religii i do księży. Żmudź, jak wiadomo, została ochrzczona dopiero w pierwszej połowie wieku XV: wtedy ufundowano też biskupstwo żmudzkie w Miednikach-Worniach, w powiecie telszewskim i odtąd zaczęto budować kościoły na Żmudzi, narazie wyłącznie drewniane. I potem jeszcze Żmudź parokrotnie wracała do pogaństwa, w wieku zaś XVI za sprawą szlachty, właściwie zaś możnej rodziny Radziwiłłów, została nawrócona na kalwinizm. Dopiero w wieku XVII-ym ugruntował się na Żmudzi na dobre katolicyzm. W wieku też XVII ufundowano słynną żmudzką Kalwaryę, z cudownym obrazem Matki Boskiej. Powoli religia katolicka najzupełniej opanowała duszę Żmudzina i dotąd stanowi niemal wyłączną treść duchowego życia ludu żmudzkiego. Religia potrafi skru-



KOŚCIÓŁ
W SZAWLACH.

ze zbiorów Pol. Tow. Krajozn.

żyć aż do teraz, roztkliwić, rozegzaltować twardego Żmudzina. Niema chyba Żmudzina-wieśniaka, któryby nie odbył pielgrzymki do swojej Kalwaryi. Żmudzini są wprost rozkochani w uroczystych nabożeństwach kościelnych, w odpustach, czyli w t. z. festach: W jednym tylko parafialnym kościele telszewskim rocznie bywa 23 odpusty festy, w całym zaś powiecie telszewskim — 357 festów. Na siedmiodniowym feście Matki Boskiej Kalwaryjskiej i na festach w innych okolicach Żmudzi, na cmentarzu kościelnym lub na chórze w kościele, biją w bębny, czyli t. z. „bubnai,“ co nadaje odpustom żmudzkim odrębny, swoisty charakter. Odgłos bębna na pasterkę podczas świąt Bożego Narodzenia lub na rezurekcyę Wielkanocną rozchodzi się echem na dalekiej przestrzeni!

Dotąd w zupełności utrzymała się na Żmudzi, o wyraźnym religijnym charakterze, kołęda. Na-

wskroś religijny charakter posiadają na Żmudzi chrzciny, śluby, pogrzeby. Księża żmudzcy są otaczani przez lud największą powagą i szacunkiem, a w chacie Żmudzina ksiądz jest najmilszym i najpożądniejszym gościem.

Największą ambicją nieco zamożniejszego wieśniaka jest wykształcić syna na księdza. To też wiadomo, że dużo księży rodem ze Żmudzi jest na Litwie, na Rusi i w głębi Rosyi.

Cóż mówić o powadze i znaczeniu na Żmudzi biskupa żmudzkiego?! Jest on witany i podejmowany w parafiach przez ludność żmudzką z prawdziwie królewską okazałością i zarazem bezgraniczną uległością:

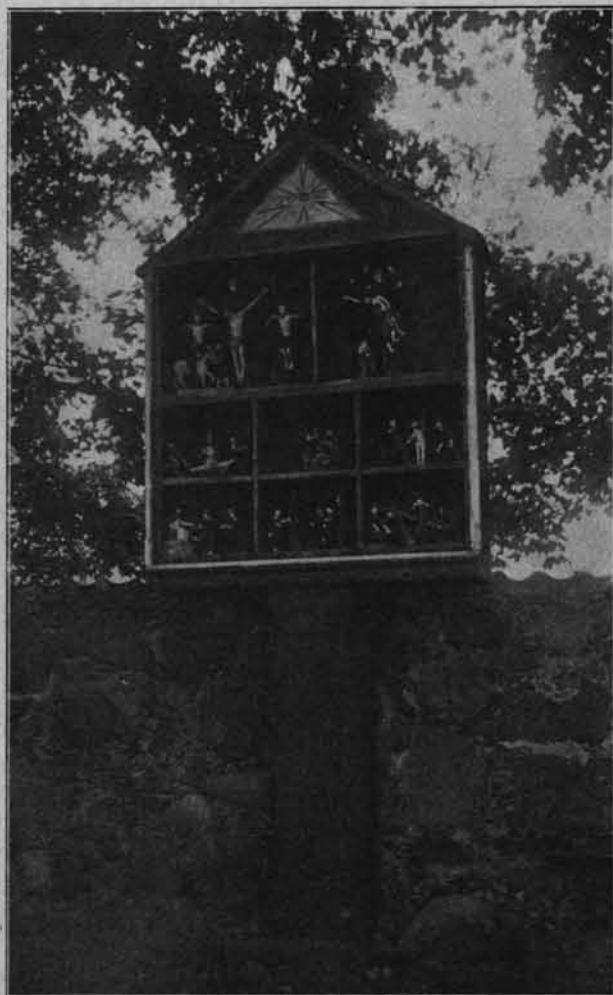
*„A Ksiądz Biskup Boga sławi,
Do dobrego wieździe ludzi
I, jak ojciec, błogosławi
Na odpuszcie Świętej Żmudzi“.*

— powiada W. Pol w „Pieśni o Żmudzi“.—



KRZYŻ Z OKOLIC POŁĄGI.

Fot. P. Mongirdówna.



KAPLICZKA NA CMENTARZU
W WIEKSZNIACH.

Fot. K. Moncewiczówna.

Dotąd jest jeszcze na Żmudzi sporo kościołów drewnianych. I one też nadają krajowi pewien charakter patryarchalny. Z kościołów starszych murowanych imponuje swoimi rozmiarami i śmiałością budowy wysokiego sklepienia kościół szawelski z r. 1625-go. W połowie zeszłego stulecia stanęła wspaniała świątynia w stylu romańskim w Retowie książąt Ogińskich, w powiecie rosieńskim. W ostatnich czasach wybudowano sporo innych większych rozmiarów i pięknych kościołów murowanych.

Jeszcze i dzisiaj na Żmudzi nie przeszło do tradycji piękne pozdrowienie przechodnia: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus“ — „Tegu! bus pagarbintas Jezusas Krystusas!“

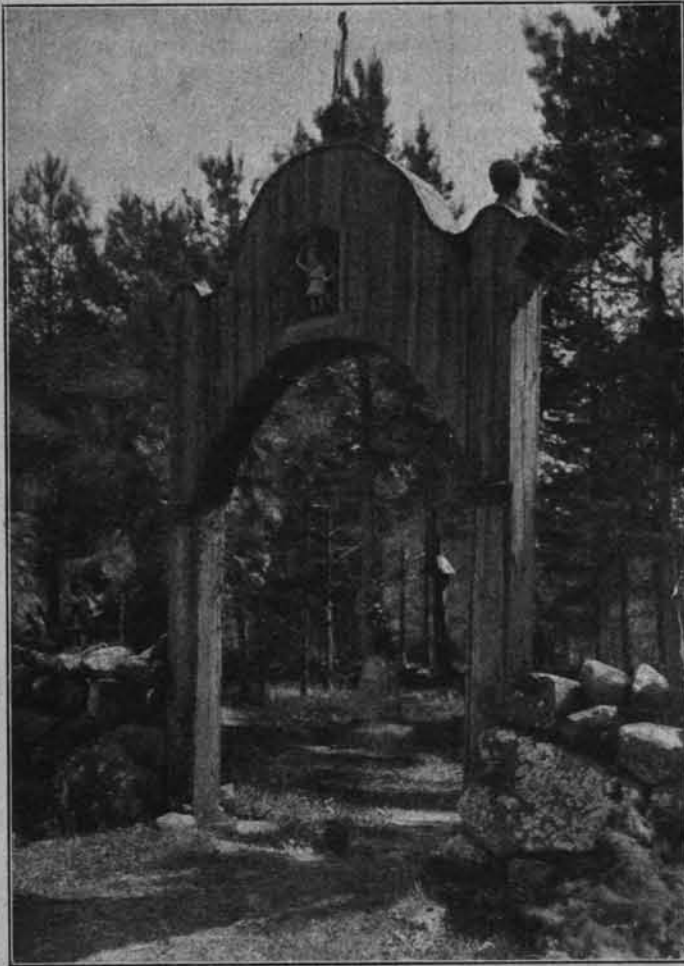
A już szczególnie nadaje piętno religijne krajowi żmudzkiemu wyjątkowa obfitość najróżnorodniejszego typu krzyżów i kapliczek przydrożnych. Niema chyba kraju, w którymby było tyle przydrożnych krzyżów drewnianych, jak na Żmudzi. Spotykamy tam nieraz na przestrzeni jednej wiorsty kilka lub nawet kilkanaście różnego typu krzyżów i kapliczek drewnianych. Na miejsce starych omszałych krzyżów powstają i dzisiaj w wielkiej ilości coraz to nowe krzyże, może nieco odmiennej struktury, może więcej zmodernizowane,

ale upłyną jeszcze długie lata, krzyże zaś żmudzkie będą wciąż oryginalną i piękną ozdobą kraju

zwykle nietładne: czuć w nich jakby obcych przybyszów i intruzów.

Krzyże żmudzkie posiadają swój własny charakter, różnią się znacznie, pod względem struktury od krzyżów litewskich z sąsiednich powiatów: poniewieskiego, jeziorowskiego, wilkomierskiego, ale i na samej Żmudzi zachodzą b. znaczne różnice pod względem kształtu, ornamentacyi i wysokości krzyżów i kapliczek. Wpoprzek Żmudzi, od parafii Wiekszni przy kolei libawskiej nad granicą Kurlandyi aż do samej Połagi nad morzem Bałtyckiem, można się spotkać z najróżnorodniejszymi typami krzyżów.

Stawiane więc są zwykle krzyże, o jednym poprzeczniku, bez wszelkich nawet ornamentacyi, właśnie takie, jakie się spotyka dotąd i w innych dzielnicach dawnej Rzeczypospolitej. Uważane są one jednak na Żmudzi za coś uboższego i mniej pięknego. To też nawet tego typu krzyże Żmudzini starają się szczególnie ozdobić i wyróżnić. A więc w parafii

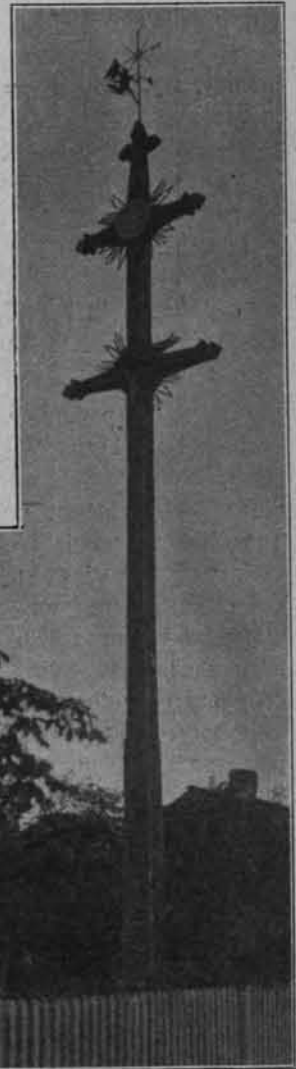


BRAMA CMENTARNA
W ŻYBIKACH (POW. SZAWELSKI).

Fot. K. Moncewiczówna.

i ciekawym przyczynkiem do psychologii zamkniętych w sobie, ale na swój sposób uczuciowych i bardzo religijnych Żmudzinów. Ma się rozumieć, że oprócz krzyżów przydrożnych, które nie mogą ująć uwagi podróżnika, można znaleźć krzyże żmudzkie w większej i skupionej ilości na cmentarzach, a także na t. z. „mogiłkach“, t. j. starych i już zarzuconych cmentarzyskach, po wsiach, gdzie zwykle krzyż stoi niemal przy każdej nieco zamożniejszej chacie włościańskiej, po dworach i dworkach; pozatem można spotkać krzyże na Żmudzi nawet w miasteczkach, albo i w największym ustroniu: w głuchym lesie, w zagajniku, na cichej polanie. Te ostatnie bywają zwykle najprostszej struktury, niemniej i one są bardzo wymowne!

W ostatnich czasach już i na Żmudzi stawiają na cmentarzach, a nawet i przy drogach, krzyże metalowe na podstawach kamiennych, ale



KRZYŻ W WIEKSZNIACH
(POW. SZAWELSKI).

Fot. K. Moncewiczówna.



wieksznięskiej (pow. szaw.) takie krzyże, najczęściej sosnowe, są wyjątkowo wysokie, smukłe, zwykle z przybitą rzeźbioną lub metalową męką Chrystusa, ozdobioną rzeźbionymi promieniami. Na szczycie takich krzyżów często bywa umieszczana płaska blaszana figura św. Michała Archanioła, poruszająca się za powiewem wiatru lub też mały krzyżyk drewniany.

Spotykają się na Żmudzi krzyże i z podwójnymi, potrójnymi, a nawet poczwórnymi ramionami, ale zawsze poziomo umieszczonymi, nie ukośnie, przytem dodawane bywają do takich krzyżów najróżnorodniejsze ornamentacje, czy to w kształcie rzeźbionej koronki wzdłuż pionowej i poprzecznych części krzyża, czy w kształcie fantastycznych promieni i innych ozdób.

Nieraz na ramionach krzyża i wzdłuż głównego słupa umieszczane są rzeźbione z drzewa i efektownie kolorowane narzędzia męki Chrystusa, jak topory, gwoździe, dyscypliny, młoty, drabiny i t. p.

Koło Andrzejowa, za Rętowem, ku pruskiej granicy, wystawiono niedawno dwa nowe krzyże

tego typu. Na jednym z nich umieszczono około 30 oddzielnych rzeźb; oprócz zwykłych narzędzi męki Chrystusa są tam: chusta św. Weroniki, kogut, pelikan i t. d.

Wszędzie także spotykamy na Żmudzi, na przestrzeni 20-stu mil, prócz krzyżów w ściślejszym znaczeniu tego słowa, najróżnorodniejsze krzyże i kapliczki, a więc małe kapliczki nieoszkolone, bez szczególnej ornamentacji, poprzyczepiane na przydrożnych drzewach, najczęściej dębach lub świerkach i sosnach, bardzo często z charakterystyczną niedużą rzeźbioną figurką Chrystusa, czasami obnażonego, kiedyindziej w szkarłatnej sukience, w postaci siedzącej, na nędznej ławeczce, z głową przechyloną na prawą stronę, ze smutnym wyrazem i jakąś zadumą. Kapliczki takie zwykle noszą nazwę „Smutkialiai“ (w liczbie pojedynczej „Smutkialis“), najpewniej od wyrazu polskiego „smutny“. I rzeczywiście, Chrystus „Smutkialis“ jak gdyby nawoływał przechodnia do refleksyi i nad umęczonym Bogiem-człowiekiem i nad niedolą zwykłego śmiertelnika.

(d. n.)

Adam Jaczynowski.



Sven Hedin w Tybecie.

5)

Dzień był piękny, niebo czyste jak lza, mróz dochodził do 17°. W głębi kryształowo przejrzystych, mało słonych wód jeziora widać w prawidłowe karby ułożony pod wpływem fal piasek dna. Tuż obok skamieniały w ruchu od mrozu potoczek połyskuje jak srebro. Obladowane jukami zwierzęta ciągną ku północnemu brzegowi jeziora; po towarzyszach, którzy wrócili do domu wiatr zawiął nawet ślad wszelki, tylko trupy koni, co padły ostatnio, zostają na brzegu.

Na tych jasnych, spokojnych wodach jeziora postanowił Hedin wypróbować swoje angielskie czółno, które do tej pory jechało na grzbietach dwóch mułów. Próba udała się tak dobrze, że i na drugi dzień karawana rozdzieliła się: Mahmud lza miał iść ze wszystkimi ludźmi brzegiem na wschód, łódź zaś z Hedinem i Rechimem Ali po dokonaniu w kilkunastu miejscach pomiarów głębokości miała ją wodą dopędzić. Gdyby zapadł tymczasem wieczór, miano na brzegu jako sygnał zapalić duży ogień. Rzecz cała wydawała się bagatelką. Jezioro było tak spokojne i gładkie, słońce grzało tak mocno, odległość była tak nieznaczna, że przejażdżka mogła być conajwyżej miłym

i nieutrudzającym spacerem. Rehim Ali dostał raniem wskazówki, jak należy wiosłować, zamiast poduszki położono na sterze jakieś futro, żywności i wody wcale nie brano.

Po brzegach stał jeszcze lód, chociaż o 1-iej w południe ciepłomierz pokazywał 11,7° w powietrzu i niewiele co mniej w wodzie. Wiatr ścisł niemal zupełnie.

Rechim Ali, który pierwszy raz w życiu siedział na łodzi, był zachwycony. Niepokoili go nieco jedynie głębia, która wynosiła bliżej brzegu 35, dalej 49, na środku zaś więcej niż 65 m., t. j. więcej niż cała długość linki, która dna nie sięgała. Mniemał nawet, że wobec tego jezioro zapewne zupełnie pozbawione jest dna i nieśmiało zapytywał „sahiba“, czy nie uważa za niebezpieczne po takich tajemniczych wodach żeglować.

A tymczasem wszystko zapadało jakby w ciche, głębokie omdlenie. Powietrze było tak spokojne, że dym z papierosa stał długo nieruchomy na miejscu, a słońce zalewało nieprzejrzane równiny wodne światłem tak mocnym i tak oślepiającym, że wszystko naokół — niebo, woda i



brzeg daleki—zlewało się w jednym jakby do białości rozpalonym tonie.

Tylko z tyłu od północy ciemniały góry, nigdy nie tającym śniegiem pokryte, a na powierzchnię wód kładły się niekiedy jakieś dziwne, fantastyczne miraże.

Po krótkim wylądowaniu około 4-ej łódź znowu poszła na wodę. Za dwie godziny słońce zajdzie, ale do wschodniego brzegu jest tak blisko, że bezwątpienia jeszcze przed zachodem można będzie połączyć się z karawaną. Niestety w rachunku nie uwzględniono burzy, która przychodzi codzień o tej porze i która może pomieszać szyki.

Jeszcze wciąż martwa panuje cisza. Ale już na zachodzie nad wysoką przełęczą zrywają się i kręcą zawrotnym wirami jasno-żółte leje kurzu i piasku, już pierwsze podmuchy wiatru trącają rozpięty tymczasem żagiel. Łódź zaczyna mknąć jak strzała, mijając laguny południowego brzegu i wysunięte w jezioro piaszczyste cypła, z których czasem czarne gęsi przyglądają się w niemym osłupieniu wielkiemu nieznanemu ptakowi o jednym skrzydle, szybującemu po wodzie.

A wtem znagła wali się wściekły wichur. Maszt gnie się jak trzcina, żagiel o mało nie pęka pod piekielnym naciskiem, zaczyna się szalona poprostu jazda. Wielka, rozpalona kula słońca stoi już na krańcu widnokrzęgu i od jej promieni padających z ukosa wszystko nabiera koloru i wyglądu krwi; spodem u podstawy fal ta krew jest ciemna, prawie czarna, u szczytu na spienionym grzbiecie purpurowo przezroczysta, jak garść rzucanych na odmęty rubinów. A po chwili i ta reszka światła dogasa. Wstaje księżyc, w którego martwej poświacie żagiel tylko bieli się śnieżnie, fale za to są coraz czarniejsze, coraz groźniej spienione, coraz wyżej rozkołysane.

Koło jakiegoś wysuniętego daleko od brzegu cypła widać zdala cichszą wodę spokojnej zatoczki, ale zanim przyszła myśl ster skrócić na prawo, już nowy podmuch wichru wypada jak z zasadzki, porywa łódź dalej i oto znowu dokoła widać tylko rozszalałe odmęty jeziora.

Ognia, który miał Mahmud Iza na brzegu rozpalic—ani śladu. Teraz, kiedy i księżyc już zaszedł, nic tylko jaskrawo iskrzące się gwiazdy nad głową i nieprzejrzana, rycząca, coraz dziksza czerń naokoło. Łódź pędzi niewiadomo gdzie; jeżeli na przybrzeżne kamienie—śmierć jest pewna; jeżeli na płytki, piaszczysty brzeg—kto wie, czy się zdoła uciec przed walącymi się jeden za drugim bałwanami. I wtedy nadchodzi śmiertelny strach. Rechim Ali kładzie się na dnie łodzi, nakrywa głowę jakąś płachtą, nie chce już patrzeć, nie chce mówić, leży poprostu jak kłoda na utopienie skazana. Wiatr coraz bardziej lodowaty smaga, jak pięciem bi-

czów i coraz głębiej przenika w głąb ciała chłód, od którego kostnieją członki; ledwie już ręka może utrzymać ster.

W pewnym momencie nagle się coś jaśniejszego wylania z pomroku, coś jakby piaszczysty wysoki brzeg. „Spuścić żagiel“!—ale żywo, bo jedna sekunda może kosztować życie. Ale Rechim Ali już nie chce się nawet ratować, więc Hedin sam zrywa maszt, wypada bezmała z łodzi, która się z rozpędu w piach wryła i którą bezwzględnie woda zalewa i chwyciwszy Rechima za kark wyrzuca go do wody. To dopiero pomaga. Teraz we dwóch ciągną na gwałt łódź, którą każda z nadchodzących fal może porwać na pełne wody, i wreszcie zmoknięci do szpiku kości, skostniali, zdyszani i nawpół żywi z wysiłku—są jednak na brzegu.

Na szczęście nic nie zginęło. Notes i papirosy zdążył Hedin w ostatniej chwili schować do górnej kieszeni, futro, żagiel i ster są również uratowane.

Tem niemniej położenie mało godne zazdrości. Naokół pustka martwa, groźna i czarna. Tuż obok fale biją z taką zapamiętałością o brzeg, że jedynie krzycząc z najwyższym wysiłkiem, można się z trudem porozumieć. Ani wody do picia, ani jedzenia, ani ciepłego ubrania. 16° mrozu i ani suchej nitki na sobie. Brzeg, o ile można dostrzedz w ciemności, zupełnie pusty, bez jednego krzaka, bez niczego, co by mogło służyć za opał. Woda, która się wlała do łodzi marznie w mgnieniu oka, ubranie ciąży i gniecie jak pancerz lodowy.

Trzeba bardzo mocno, z całym napięciem woli chcieć nie zginąć, żeby mózg przetrwać taką chwilę. Przedewszystkiem zdjąć jaknajprędzej pończochy i buty, które zamarzają na nogach, zupełnie już zresztą pozbawionych czucia. Biedny Rechim Ali musi się rozpiąć na chwilę i ciepłem swojego ciała rozgrzać nieco stopy Hedina, który się nie może utrzymać na nogach. Potem wyciągają dalej łódź, rozdzielają ją na dwie połowy, wrywają ławkę i ramkę do liny, służącej do mierzenia głębokości—i oto przy pomocy kilku kartek z notesu i ocalonych na szczęście zapalek jest gotowy ogień. Nędzny, mały, ledwie tłący się ogień, ale przecie przytknąwszy do niego nieomal ręce i nogi, czuje się, że w nich znowu krew krążyć zaczyna. To jest już maximum rozkoszy, jakich się na razie można spodziewać i aby tylko nie zasnąć, są widoki, że się uda nieskończenie długą noc przeczekać.

Na szczęście sprawy wzięły obrót jeszcze bardziej pomyślny. Po paru godzinach zabłysło w oddali światelko, może świecąca nisko nad widnokrzem gwiazda, może ogień sygnału. Ale nie, światło się zbliża, wolno, jakby z przestankami,



ale przecie się zbliża. I oto po długim, niecierpliwem oczekiwaniu wynurzają się z cieniu trzy wysokie postacie jeźdźców—to Mahmud Iza. A zatem uratowani—na dzisiaj.

Na dzisiaj, bo widocznie, czy tybetańskie jeziora nie chcą dać obcym deptać po sobie, czy nauka w las poszła, ale nie upłynęło trzech dni, a powtórzyła się kropla w kroplę ta sama scena. Z tą jedynie różnicą, że tym razem nie na jeziorze Lightena, tylko na tuż obok niego leżącym, rozdzielonem tylko wysokim 5301 metrów grzbietem jeziorze—Jeszyl-Köl.

Tym razem oprócz Rechima Alego był i Robert na łodzi, ale też brzegi Jeszyl-kölu okazały jeszcze mniej gościnne i łatwe, niż jez. Lightena. W niektórych miejscach o 100 metrów od brzegu głębokość wynosiła zaledwie 1 metr, zatem za mało, żeby płynąć, ale dosyć, żeby się przy rozkłypanych wodach utopić. W dodatku brzeg był bagnisty, do głębi przesiąknięty solą, co wprawdzie nie dawało punktu oparcia nogom, ale je darło i kłuło jak nożem. Tam zaś, gdzie, jak się zdawało, możnaby uciec przed szalejącą na jeziorze burzą, czekały przybyszów dwa olbrzymie wilczyśka, lecące nieodstępnie wzdłuż brzegu. Skoń-

czyło się na tem, że omyliwszy czujność tych groźniejszych od burzy strasydeł, trzeba było wyładować na jakieś bagno i tam na mrozie, szczękając jak w febrze zębami, przeczekać piekielnie długą noc, znowu bez odzienia i bez żywności.

Za to doczekawszy się dnia i wypawszy możliwość przystąpić do ciekawej roboty. Tu, choć o setki wiorst żywej duszy nie było, był przynajmniej jakiś ich ślad. Tu jeden z poprzedników Hedina—Anglik Deasy zakopał w 1896 r. część swoich zapasów, których padające konie już nie mogły udźwignąć i z pomocą mapy i opowiadań kilku z ludzi, którzy z Anglikiem chodzili, udało się wszystko na światło dzienne wykopać. Nie wiele było z tego coprawda pożytku, bo mąka już się była zepsuła doszczętnie i za całą zdobycz służyć musiały parę map i kilka romansów, które biblioteczkę podróżną wzbogaciły, ale zawsze było to jakby dalekie echo ze świata, od którego teraz nieprzebyte pustynie odgradzały.

A skrzyżowawszy tak cudzy, dawno ostygły szlak, można było tem silniej oddać się tęsknocie za ziemią, której jeszcze niczyja—prócz może dzikich nomadów niekiedy—noga nie deptała dotychczas.

(c. d. n.)

St. Th.



GAWĘDY KRAJOZNAWCZE.

X.

Był czas, kiedy pomimo głębokiej i zasadniczej różnicy między charakterem Polaka i Niemca, kultura niemiecka zalewała nas ze wszech stron. Właściwie nawet nietylko ona nas zalewała, ileśmy sami z niej lekką, niedość ostrożną ręką czerpali. Były to czasy, kiedy stosunki polityczne były jeszcze mniej zaognione, widmo niebezpieczeństwa mniej widoczne, kiedy ziemia z rąk polskich leciała jak woda przez sito, a wszystkimi porami wciskała się do języka, obyczaju i życia umysłowego naszego niemczyzna.

Potem pod wpływem zmienionych, a zwłaszcza uświadomionych warunków bytu naszych kresów zachodnich, nastąpił zwrot radykalny. I dziś w pewnych zwłaszcza momentach, kiedy się czuje nową, piekącą ranę, idzie się bardzo daleko: bojkotuje się przemysł niemiecki, pieniądze niemieckie, ich kąpiele i wody, ich literaturę i sztukę bezmała. Nie przeszkadza to, że w naszych teatrach sztuki tłumaczone bywają przeważnie niemieckie, że w architekturze—zwłaszcza na użytek codzienny—posługujemy się aż do zbytku naśladowni-

ctwem wzorów berlińsko-wiedeńskich, że w wydawnictwach artystycznych, przekładach z języków mniej nam znanych, nawet wydawnictwach pocztówek ilustrowanych posługujemy się czy akceptujemy milcząco pośrednictwo języka i ręki niemieckiej, którym tak groźną i twardą tylko co wypowiedzieliśmy wojnę.

Nie mam zamiaru ani pisać artykułu politycznego, ani dawać jakichkolwiek w tej mierze wskazań, nie będę przeto poruszał niezgodności między głośno ujawnionym zamiarem a po cichu istniejącym faktem, nie będę tem bardziej wdawał się w zasadniczą ocenę wartości tych zamiarów. Chciałbym tylko w skromny, najpobieżniejszy sposób zwrócić uwagę na garstkę faktów może niedość powszechnie, zwłaszcza u nas w Królestwie, znanych, a mających jednak swą wagę całkiem niepospolitą.

Bezwzględna, niszczycielską w pewnych kierunkach robotą niemiecką w naszym zaborze pruskim znamy wszyscy dość dobrze naogół. Wiemy, że temu, co polskie jest, podcina się tam bezlitośnie korzenie, stawia się nieprzebyte tamy, że wszyst-



ko, co nie chce uleść, co nawet nie chce dość szybko uleść i zniknąć z powierzchni ziemi niszczy się i tępi, jak perz, jak chwast, jak zawadzające do siejby karczowisko. Wiemy też, że na to miejsce sprowadzane są, plantowane, bodajby sztucznie, obce siły, obcy ludzie. W szkole, w wojsku, w urzędzie Polak mimowoli nasiąkać musi pewną ilości niemczyzny, która wcześniej czy później wchodzi mu w krew, przerabia go choćby w drugim czy trzecim pokoleniu na inny typ, nie niemiecki na szczęście, ale bądź co bądź bardzo znacznie różniący się od Polaka z innych zaborów. To jest walka materyalna, głośna, brutalna, toczona w oczach całego świata bez wstydu i bez skrupułu, walka przez jedną stronę wypowiedziana, przez drugą przyjęta, przez obiedwie z najwyższym wysiłkiem i zapamiętaniem się toczona. O tej wiemy.

Ale współcześnie z nią przez tych samych ludzi i z tych samych pobudek, używa się przeciw nam innej broni, pozornie zupełnie niewinnej, zupełnie ostrza zjadliwości politycznej pozbawionej w gruncie rzeczy zaś tyle tylko, że zgoła inną metodą używanej. To jest cichy, prawie że niewidoczny, a przecież naprawdę potężny nacisk kultury niemieckiej na umysłowość polską, na jej potrzeby i pragnienia. Tym razem nawet kultury istotnej, choć czysto niemieckiej, z całą jej sumiennością, gruntownym przygotowaniem zawodowym i niezaprzeczalną wartością realną. Tej kultury używa się tam w ten sposób i w takich celach, że polski uczonec, artysta, dziennikarz, człowiek, który chce myśleć i chce myśłą walczyć, ma do wyboru jedno z dwojga: albo przyjąć z dobrodziejstwem inwentarza, to, co mu hojna ręka niemiecka podaje, albo odrzucić dar i — bezmała wyrzec się walki.

Świetna, wydana przed kilku laty książka Franciszka Morawskiego rzuciła na te sprawy snop światła, rozpraszającego wszelkie wątpliwości, co do zamiarów i celów takiej akcyi. Dość przeczytać w niej rozdział poświęcony muzeum niemieckiemu w Poznaniu i zwłaszcza tamtejszej bibliotece ces. Wilhelma („Germańskie drogi ducha“). Odsyłając ciekawych do oryginału — na czem zresztą mogą tylko skorzystać, bo książka powtarzam jest świetna i arcyciekawa — pozwolę sobie zacytować, że pozornie biblioteka ma służyć dla wszystkich. Urządzona jest tak znakomicie, że pod tym względem mało ma podobno równych sobie w Niemczech; że jest oczywiście hojnie i aż nadto wystarczająco dotowana przez rząd — to rzecz prosta i oczywista; że dary osób i instytucji prywatnych przekraczają nawet zasiłki rządowe, to dowód tylko, że jej istotne znaczenie i wartość rozumiane są daleko poza granicami Poznania. Przy-

tem żadnych utrudnień, żadnych ograniczeń językowych, żadnego szowinizmu. Każdą książkę bez względu na treść i język jej, zarząd sprowadza w czasie możliwie najkrótszym: równie dobrze Szyllera, jak Mickiewicza, równie chętnie pisma niemieckie, jak roczniki czasopism polskich, choćby nawet pochodzących z poza granic państwa niemieckiego. Ty, luby Polaku, możesz tylko przyjść, w całym zaufaniu swoje żądania wynurzyć, mieć je urzeczywistnione natychmiast — i cieszyć się, żeś się zetknął z wielką kulturą niemiecką, która nie zna, ani nie uznaje różnic narodowościowych w nauce. Jeśli z czasem przez wdzięczność lub przez przyzwyczajenie będziesz przekładał nad głupie pisma i wydawnictwa warszawskie, druki berlińskie — temci lepiej dla ciebie. A tymczasem ucz się i pamiętaj, że czy chcesz ręką w rękę iść z nami, czy przeciwko nam walczyć, bez nas, bez naszej kultury, wiedzy, materyalnej i umysłowej pomocy nie obejdziesz się. My ci nauczymy, czem była w szczegółach przeszłość tego skrawka ziemi, na którym siedzisz i który nazywasz swoim (od tego masz wydawnictwa naszych prowincjonalnych towarzystw historycznych), my ci spisemy i ocenimy wartość znajdujących się na nim zabytków sztuki, my ci wykażemy jego bogactwa przyrodzone, stosunki ekonomiczne, damy mapy, plany, sztychy, biblioteki, muzea, czasopisma.

I na Boga w tem jest niekiedy żelazna prawda młotka, który w łeb bije!

Właśnie leży przedemną kilka z takich wydań, i to nawet nietyłe obrazujących całokształt dokonanej przez kogoś za nas i dla nas pracy, jeno wyrwanych na chybił trafił z całości. Choćby dlatego, żeby prawdę słów swoich poprzeć, sprobuję wam dać o nich pojęcie.

Pierwszem jest wielkie czterotomowe in 4^o dzieło p. Juliusza Kohte: „Uebersicht der Kunstgeschichte der Provinz Posen“ (Przegląd historii sztuki w Poznańskim). Wydane w 1898, oczywiście w Berlinie i istotnie b. poważnie. Poza krótkim streszczeniem historii państwa polskiego obejmuje duży, szczegółowy zarys historii sztuki w Ks. Poznańskim, z dodanym spisem ważniejszych artystów i rzemieślników, którzy tutaj na tem polu działali. To wypełnia cały tom pierwszy. A potem miasto za miastem, wieś za wsią idzie opis kościołów, pomników, cmentarzy, zamków, domów, ruin, fragmentów. Wszędzie podana jest conajmniej data erekcyi, najtreściwszy rys dziejów zabytku, opis architektoniczny i dokładny inwentarz, zatem pomniki, tablice, sprzęty kościelne, obrazy, dzwony, ornaty i t. d. Jeżeli nazwa miejscowości została zmieniona, podane jest jej brzmienie polskie; napisy na pomnikach oryginalne, a więc łacińskie po ła-

cinie, niemieckie po niemiecku, polskie po polsku i to tak dalece nawet, że o ile w polskim tekście znajduje się jawne nieuszanowanie gramatyki lub ducha języka autor zwraca na to uwagę wykrzyknikiem—(!). Wszystkie te zabytki były przez p. Kohtego naocznie widziane, własnoręcznie lub z pomocą zawodowców odfotografowane, odrysowane, pomierzone. Źródła uwzględniono zarówno niemieckie, jak i polskie, przyczem nic bodaj co na tem polu u nas jest wartościowego, pominięte nie było. Ton spokojny, prawie wyłączający politykę. Punkt wyjścia—pg. przedmowy—zapobieżenie niszczeniu zabytków i podniesienie poziomu estetycznego współczesnego budownictwa. Pomoc materialna ze strony rządu i władz lokalnych—jak najszersza.

Inny ma już wygląd i innym mówi językiem wydawnictwo, które dopiero w 1909 światło dzienne ujrzało, a mianowicie: Paul Graeff—Die wichtigsten Baudenkmäler der Provinz Posen (Najważniejsze zabytki budownictwa w Poznańskim). Są to 42 światłodruki in folio, obejmujące najciekawsze kościoły i parę świeckich zabytków. Techniczne ich wykonanie jest wprost znakomite, wartość estetyczna oceniona w skróceniu, lecz wystarczająco przez prof. Kaemmerera. Ale i w tekście Kaemmerera i w przedmowie samego p. Graeffa widać już całkiem niedwuznacznie wyszczerzone zęby. Ziemia jest oczywiście „odwiecznie niemiecka“, to co na niej ma jakąkolwiek wartość, jest również niemieckie, mówi się światu o tem, co tu jest i co zdaniem obydwóch autorów ma dużą wartość, żeby na zawsze te wschodnie „jeszcze pół-słowiańskie kresy“ związać „kamiennymi więzami“ („mit den steinernen Banden“) do kultury i do jądra niemieckiego. W przeciwieństwie do Kohtego, któremu wydawca całe swoje uznanie wyraża, dzieło ma na oku szersze warstwy miłośników sztuki i turystów niemieckich, na rzecz których ta pokojowa aneksja jest dokonana.

To są wielkie działa. Na codzienny użytek jest lżejsza artylerya, jest miesięcznik: „Aus dem Posener Lande“. Doskonały papier, dobry, chociaż oczywiście patryotyczny gocki druk, nieliczne ale prześliczne ilustracye, popularyzujące pejzaż poznański. Treść bardzo różnostronna. Są i powieści i poezye—wszystko oczywiście na specjalny ton nastrojone—i badania geologiczne i nieco przyczynków historycznych i szeroko, starannie traktowany dział ludoznawczy—baśnie, podania, przysłówia i t. d. Jednym słowem zajmujące, po-

ządnie prowadzone pismo krajoznawcze—o Poznańskim przez Niemców pisane. Cena wprost humorystyczna: za 12 dużych zeszytów 6 marek, dla członków pewnych towarzystw niemieckich—4 marki rocznie, zatem wobec nieuniknionych subsydyów dla inicjatywy prywatnej wszelka konkurencya wyłączona.

A teraz proszę mi powiedzieć, czy Polak, który pragnie Poznańskie poważnie studyować, ma prawo takie wydawnictwo ominąć. I z drugiej strony, czy jest możliwe, aby po dłuższym czasie ciągly kontakt z tą wrogą, w najlepszym wypadku obojętną nam myślą nie zatruł go narodo. Oni nawet nie wszyscy i nie zawsze—jak p. Graeff lub p. Kaemmerer—siłą się na patos i pogardę względem nas; ale oczywiście traktując rzecz ze swojego punktu widzenia, podkreślając, poszukując każdego najślabszego bodajby śladu, który łączy te nasze kresy zachodnie z kulturą niemiecką, są w stanie zasuggestyować czytelnika. I bodajby ten czytelnik nie zapomniał, że jeżeli wykonawcą był obcy—niezawsze nawet Niemiec—to ogrodnikiem, który te cudzoziemskie rośliny sprowadzał, na swoim gruncie zaszczeniał, koło nich chodził i swoje na nich piętno wyciskał, był wyrzucany dziś poza ramy—Polak.

Krajoznawstwo nawet wówczas, kiedy operuje cyfrą i ogranicza się do suchej, beznamiętnej metody badania, musi mieć jakiś głębszy, cieplejszy podkład, musi być związane licznymi niemi z całokształtem życia narodowego.

I dlatego nie jest obojętnem oświetlenie, jakie się faktom nadaje, nie może być obojętną myśl, która autorowi służy za punkt wyjścia i za busolę. Posługiwać się pracą i badaniem obcych mamy nie tylko prawo, ale i obowiązek; niemniej przedebrze sobie zapamiętać należy, że tamte dzieła nie są ku naszej chwale i ku naszemu użytkowi pisane, że są roboty, w których się nie wolno nikim wyręczać, że nie chceć znać domu, który się od kilkunastu pokoleń zamieszkuje, mógłby ten chyba, kto się z niego ma zamiar—wyprowadzić.

Nie trzeba za dużo pamiętać o odwrotnej stronie medalu: o ciężkich warunkach, w jakich się u nas taka praca odbywa, o braku środków, braku ludzi, braku czasu, o tem, że i tak w stosunku do trudności dużo u nas i przez nas dokonane zostało. Dużo to nie jest dosyć, a kresu nigdy nie będzie tam, gdzie nas inni chcą całym pędem prześcignąć.

Boruta.

Z Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego.



We środę dnia 1-go czerwca odbyło się ostatnie przedwakacyjne zebranie miesięczne Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego pod przewodnictwem K. Kulwiecia.

W zagajeniu przewodniczący podniósł uroczysty charakter posiedzenia, poświęconego z jednej strony pamięci zgasłej Wielkiej Pracowniczkii pióra Elizy Orzeszkowej, z drugiej zaś—jubileuszowi Grunwaldzkiemu.

W pięknym przemówieniu wstępnem p. Irena Kosmowska skreśliła charakter twórczości zgasłej powieściopisarki, jako apostołki miłości i obowiązku, tych dwóch zasadniczych strun, składających się na akord istotnego patriotyzmu.

Przedstawione zebranym komunikaty od Zarządu zawierały wiadomości: 1) o projektowanych studiach nad odkrytymi grobowcami przedhistorycznymi, o jakich nadesłano Zarządowi z różnych stron kraju korespondencje i informacje; 2) o naradach nad sposobami przysporzenia Towarzystwu środków na palące potrzeby projektowanych prac krajoznawczych; 3) o ciekawej pracy prof. E. Romera, przedstawiającej graficznie stan literatury fizyograficznej, dotyczącej ziem polskich, ujawniającej poglądowo znaczną przewagę w tym przedmiocie literatury w językach obcych nad literaturą polską; 4) o znacznym przyroście zbiorów Towarzystwa, jaki da się wykazać za pierwsze półrocze (1910), a mianowicie: biblioteka wzrosła o 284 dzieła w 888 tomach, w czym nabytych za gotówkę—42 dzieła w 83 tomach (za cenę 160 rb.)—pozostałe zaś ofiarowane przez następujących członków Towarzystwa: Wł. Karoli, K. Kulwieć, K. Stołyhwo, H. Vorbrodtówna, S. Dzięwulski, S. Czarnowski, W. Dzierżawski, I. Kosmowska, K. Rakowiecki, Z. Skrobański, T. Wolski, Z. Lorec, S. bar. Graeve, I. Dzierżawski, Bibliot. Publiczna, W. Wrześniowski, W. Szelązek, M. Wisznicki, M. Horn, H. Porazińska i W. Zalas.

Do zbiorów zaś muzealnych przybyło:

Okazów etnograficznych	48
„ archeologicznych i numizmatycznych	440
„ geologicznych i mineralogicznych	60
„ zoologicznych	165

Razem Nr. Nr. 713

Muzeum Krajoznawcze zasilają głównie swymi zbiorami ucząca się młodzież i osoby nie należące do Towarzystwa: S. Pillati, St. Olewiński, C. Makowski, M. Kączkowska, St. bar. Graeve, Zawadzka, Al. Janowski, Makulski, Tomerski, Słodowski, Faudri, Biedrzycki, Jasińska, Kółko ziemianek z Terespoła, Jaworski, I. Hewelke, d-wa Sawicka, W. Szelązek, B. Ślaski, St. Popławska dr. Brenneisen i Goebel.

5) o organizacji Muzeum Krajoznawczego w Kołomyi (M. Pokuckie).

Wreszcie referent skreślił program działalności dla członków Towarzystwa oraz dla osób, życzących sobie podczas zbliżających się feryi wakacyjnych przyczynić się do rozwoju krajoznawstwa, zwracając szczególną uwagę na:

- 1) potrzebę gromadzenia zdjęć fotograficznych z różnych okolic kraju;
- 2) konieczność notowania zabytków i pamiątek historycznych, wymagających opieki publicznej;
- 3) gromadzenia wykazów osobliwości przyrody;
- 4) informowanie ogółu o zadaniach i programie działalności Towarzystwa Krajoznawczego, ułatwiając mu zjednywanie nowych członków;
- 5) potrzebę propagowania „Ziemi“ przez pozyskiwanie prenumeratorów.

Nowych członków przybyło 246.

Prof. M. Wisznicki wypowiedział pięknie ułożoną, ilustrowaną przezrociami rzecz o rozprawie Grunwaldzkiej p. t. „Szlakiem Jagiełły“, K. Kulwieć zaś zilustrował szeregiem obrazów marszrutę projektowanej na koniec czerwca tygodniowej wycieczki krajoznawczej na Litwę (Kowno—Wilno—Grodno) i do Puszczy Białowieskiej.

Sluchacze wypełnili wielką salę Muzeum Przemysłu i Rolnictwa po brzegi.

□□□□□□□□□□

Kronika Krajoznawcza.

+ Foka złapana w Wiśle. Dnia 21-go maja rybacy zabili wiosłami pod Płockiem w Wiśle fokę, którą nabył następnie inż. Radzyński i przybiecał ofiarować do muzeum Tow. Naukowego w Płocku.



Fot. A. Maciesza.

Foka—samica, długości około 1 metra, wagi przeszło 120 funtów, prawdopodobnie przywędrowała z morza Bałtyckiego. Możliwe jest i takie przypuszczenie, że ktoś, hodując przez czas dłuższy u siebie fokę, wypuścił ją następnie do Wisły. O ileby to ostatnie przypuszczenie nie potwierdziło się, mielibyśmy do czynienia z bardzo ciekawym faktem przyrodniczym.

+ Na jednym z posiedzeń odbytego świeżo w Warszawie zjazdu górniczego inż. Krzyżanowski odczytał referat o znaczeniu dróg wodnych dla przemysłu górniczego w Królestwie Polskim.

Referent wskazał na nieodzowną potrzebę uregulowania Przemysłu, aby przy jej pomocy można było

skierować część ładunków węglowych Wisią, Narwią, Pilicą i Bugiem. Dzięki temu węgiel mógłby rozchodzić się do wszystkich zakątków kraju, a taniość przewozu obniżyłaby cenę. Sama Warszawa oszczędziłaby na przewozie węgla wodą około 1.160.000 rubli rocznie. Następnie należałoby urządzić przystanie wyładunkowe na Wiśle w Warszawie, Dęblinie, Włocławku i na Przemszy. Roboty regulacyjne i połączenie przystani z kolejami nie przekroczyłyby sumy 500 tysięcy rubli.

Wniosek p. Krzyżanowskiego poparł prezes komitetu rejonowego warszawskiego, p. Połtow, który oświadczył, że sfery decydujące już oswoiły się z tym projektem i komitet wkrótce wyśle umotywowany memoriał w tej sprawie. Uchwała zjazdu jest bardzo na czasie, bo może usiłowania komitetu poprzeć. Projekt p. Krzyżanowskiego przekazano umyślnej komisji pod przewodnictwem p. Połtowa.



+ W celu wykupu z rąk polskich majątków na Litwie i Białorusi bank szlachecki od r. 1894 wydaje zaliczki Rosyjanom, pragnącym nabyć dobra polskie. Od tego czasu wykupiono z rąk polskich 195 majątków (przestrzeni 427,968 dziesięcin), z których 47 pozostało i nadal w rękach polskich. W ostatnich dwóch latach działalność banku była słabsza niż w latach poprzednich.

W r. 1908 na kupno majątku polskiego wydano tylko jedną pożyczkę w sumie 77,400 rb., a w r. 1909 dwie, z tych tylko jedna również była użyta na wykup majątku, zaś transakcja z drugą zaliczką nie doszła do skutku.

Według sprawozdania banku szlacheckiego, wiele majątków, wykupionych z rąk polskich, zostało przez nabywców Rosyjan rozparcelowanych i sprzedanych różnym osobom bez różnicy wyznania.



+ Kołomyjskie Koło Towarzystwa Szkoły Ludowej obejmując w posiadanie część zbiorów po ś. p. Edmundzie hr. Starzeńskim, podjęło myśl założenia Krajoznawczego Muzeum w Kołomyi p. n. Muzeum Pokuckie.

Celem i zadaniem jego będzie gromadzenie okazów wszystkiego, co Pokucie posiada pod względem archeologicznym, historycznym, przyrodniczym i etnologicznym; w ten sposób spełniać ono będzie zadanie Muzeum Krajoznawczego prowincjonalnego w całym

tego słowa znaczeniu, gdyż będzie dawało najwierniejszy obraz tej odległej części Galicyi.

I. Dział przyrodniczy obejmować będzie: rysunki, podobizny, przekroje z zakresu morfologii powierzchni ziemi; mapy plastyczne, geologiczne, zdjęcia i plany okolic, okazy petrograficzne, mineralogiczne i paleontologiczne; wypchane okazy zwierząt, przedmioty uwidoczniające sposób i sceny ich życia; zbiory roślinne, próbki wszelkich gatunków drzew. W dziale tym znajdują również pomieszczenie, obok okazów płodów krajowych, przedmioty służące do unaooczenia sposobu ich eksploatacji i przetwarzania, a więc wszystko to, co dać będzie mogło pojęcie o przemyśle, rolnictwie i handlu na Pokuciu.

II. W dziale historycznym będą mieścić się wszystkie przedmioty, uwidoczniające dzieje pracy cywilizacyjnej polskiej na Pokuciu od lat najdawniejszych po najnowsze, a więc: podobizny wszelkich pomników historycznych, jak najdawniejszych kościołów, cerkwi, zamków, klasztorów, dworów, nagrobków, kopców bądź też ich ruin; wizerunki mężów zasłużonych Ojczyźnie a pochodzących z Pokucia i pamiątki po nich; zdjęcia ewentualnie plany pobojoisk; dokumenty dotyczące się osiedlania się w tych stronach polskiej ludności; części dawnych zbroi i strojów, monety, dokumenty i akty, sprzęty z dawnych domowych urządzeń i wszelkie t. p. antyki;—następnie wszystko to, co dać będzie mogło obraz rozwoju dzisiejszej działalności kulturalnej żywiołu polskiego w tych stronach, a więc: dokumenty, publikowane sprawozdania i kroniki polskich towarzystw, opisy ich rozwoju, działalności i przeobrażeń.

W dziale tym znajdują nadto umieszczenie wszelkie wykopaliska z czasów przedhistorycznych.

III. Dział etnologiczny zawierać będzie sprzęty domowe i gospodarce tutejszego ludu wiejskiego, stroje ludowe, broń, przybory myśliwskie, przedmioty dewocyjonalne, instrumenty muzyczne; opisy obrzędów, zwyczajów, podań, legend, wreszcie wyroby przemysłu domowego, zabytki zdobnictwa ludowego oraz wyroby, mające na celu wytworzenie i wydoskonalenie tutejszego rodzimego stylu „huculskiego“ tak w ceramice, jak w przemyśle drzewnym i mosiężniczym, jednym słowem wszystko to, co dawać będzie pojęcie i wyobrażenie o teraźniejszym i dawnym życiu, zwyczajach i zajęciach tutejszego ludu.

Niezależnie od tego zbierane będą przedmioty we wszystkich trzech działach, odnoszące się tak do całej Polski, jakoteż do ogólnych, wszechludzkich dziejów.



TREŚĆ: *S. J. Czarnowski* — „Jaskinie Góry Koronnej“ (z 4 ilustr.); *Dr. Ludomir Sawicki* — „Lawiny w Tatrach“ — c. d.; *Adam Jaczynowski* — „Żmudź i Żmudzini“ — c. d. (z 5 ilustr.); *St. Th.* — „Sven Hedin w Tybecie“ — c. d.; *Boruta* — „Gawędy Krajoznawcze“ — X. Z Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego. Kronika Krajoznawcza.

Wnieśli tytułową i ozdoby w tekście rysował Mikołaj Wisznicki — Odbito w tłoczni Piotra Laskauera i S-ki — Składał i zamał Stefan Turobojski — Odbijał na maszynie Ignacy Kótasiński — Klisze wykonano w zakładzie B. Wierzbickiego i S-ki — Papier krajowy z fabryki A. Moesa w Pilicy.

Redaktor i Wydawca **Kazimierz Kulwiec**.